



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Z nietłomaczonych poezji Giacoma Leopardiego.

DO SYLWII.

Sylwio, pamiętasz-li jeszcze
Te dni twej ziemskiej wędrówki,
Kiedy pięknoscia jaśniały
Twe promieniste, śmiejące się oczy —
A ty, radosna, rozmarzona, wstępowałaś
W progi młodości uroczej?

Piosenek twoich
Rozbrzmiewały echa,
W cichych pokojach, w ulicy przyległej,
Podczas, gdy pracą niewieścią zajęta
Siedziałaś — a myśl twoją w pęta
Osnuwały przyszłości marzeń cudne roje.
Był wonny maj: tak twoje
Dni zwykle biegły.

Nieraz na stronę odłożywszy lubę
Księgi i papiery — mozolne dzieło,
Które mi moją młodość
I lepszą mej istoty część pochłonęło —

Z ojcowskiego domu ganków,
Zasłuchany w głos twego dźwięki,
Goniłem wzrokiem w ślad ręki,
Przebiegającej płótno w szybkim ruchu.
Patrzyły na to jasne tonie
Niebios, złote ulice i ogrody,
Ztąd morze oddalone, ztamtąd góry:
Śmiertelny język nie wypowie
Co czułem wtedy w łonie.

Jakie czarowne myśli,
O Sylwio moja, jakie sny, dążenia!
Jak wówczas wyblęśła z cienia
Gwiazda losów i żywota!
Jak wtedy, słodką nadzieją złudzona,
Ocknęła się w głębi mego łona,
Gorzka, okrutna zgrzyzota! —
I znów mi bóle targać poczęły piers młoda...
O przyrodo, o przyrodo!
Czemu nam się życia szlak nie kwieci?
Czemu nie dotrzymujesz tego coś przyrzekła?
Czemu własne zwodzisz dzieci?

Ty, Sylwio — zanim trawę zwarzył szron zi-
Skrytą zwalczona chorobą, [mowy —
Zginęłaś w życia zaraniu
I nie widziałaś swoich lat rozkwitu;
Serca nie upoiły ci słodkie pochwały

Ni kruczych twoich splotów ni spojrzeń, tajo-
Miłością tchnących; w dzień święta [na
Rówieśne ci dziewczęta
Nie z tobą o miłości gwarzyć miały.

Ach! — i odemnie tak szybko
Pierzchła nadzieja moja słodka i od proga
Młodości mojej losy
Cały jej blask odwiodyły.
Jak rąco przeminęłaś,
Dni młodocianych, towarzyszek droga,
Tak oplakana nadziejo!
Takiż jest ten świat i taką
Jest miłość i rozkosze takie i trud i dążenia,
Z których czarowne blaski promieniają?
Takiż jest los ludzkiego pokolenia?
Przy pojawieniu się prawdy
Ty, nieszczęsna, upadłaś i ręką zdaleka
Zimną mi śmierć wskazałaś
I samotną mogiłę, która na mnie czeka.

Przełożył z włoskiego

Władysław Nawrocki.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-ach częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg)

VI.

Zamek krasnostawski wznosił się na lewym brzegu Wieprza, na wyniosłym urwisku, u stóp którego płynęła rzeka. Był to obszerny czworobok, mający po rogach cztery okrągłe baszty; z drugiego piętra miał bardzo piękny widok na okolicę: na rzekę, wijącą się w dali, oraz na miasto, położone nieco wyżej, z kościołem, dworem starościńskim, oraz pałacem biskupim.

Takim było miejsce pobytu cesarskiego więźnia.

Oddano mu na mieszkanie najwspanialsze komnaty na górnym piętrze, otoczone wszelkimi wygodami, by jaknajmniej czuł swą niewolę. Na jego prośbę usilną zostawiono mu przy boku pana Andrzeja Zborowskiego, oraz kilku ze szlachty niemieckiej, która pozostała, by z nim dzielić los jego, — miał też przy sobie liczny poczet sług i dworzan. Reszta panów polskich została umieszczoną w Kwidzynie.

Pan Jakób Sobieski, starosta krasnostawski, któremu powierzono straż nad dostojnym więźniem, był zawsze z najgłębszym uszanowaniem dla jego osoby gotów w każdej chwili na usługi.

Czasami hetman przybywał w odwiedziny, albo też zapraszał arcyksięcia do Zamościa na różne ucztę i festyny, urządzane na cześć jego. A gdy Zamojskiemu pierwszy syn się urodził, Maksymilian raczył go do chrztu trzymać.

W obrębie zamku był najzupełniej swobodny, nie czując nad sobą żadnego natrętnego dozoru. Mimo jednak, że starano się osłodzić mu jego niewolę, ciężyla na ona wszakże niezmiernie, i myślał tylko nad tem, by się z niej wydostać copędzej, wciąż o tem radząc ze Zborowskim, który mieszkał w tem samym co on skrzydle i całymi dniami dotrzymywał mu towarzystwa.

Nikomusie wszakże nie ciężyla może tak niewola jak panu Janowi, który został w Krasnymstawie przy boku marszałka, na jego własne żądanie. W Bieczynie miał nadzieję, iż się spotka z bratem i dowie się od niego coś o rodzinie, lecz pana Ignacego wcale nie było wówczas przy hetmanie, gdyż pozostał w Zamościu. Pan Jan więc nie miał żadnych wieści o swoich, lecz domyślać się tylko mógł, w jaką teraz popadł niełaskę u stryja i kasztelanowej. Połowę życia oddałby, by choć na chwilę mógł wydostać się z niewoli i pójść tam, aby się usprawiedliwić i przebłagać gniew. Widział przed sobą wciąż groźną twarz stryja, lzy Magdzi, spojrzenie Ewy, pełne wyrzutu a może i wzgardy; — zrozpaczony, nie dostrzegał znikąd promyczka nadziei. Nadewszystko jednak był dręczony ową przymusową bezczynnością, której nie znosiła jego natura żywa i ruchliwa; to też po jakimś czasie wpadł w pogębienie i począł szukać samotności, stroniąc od ludzi otaczających go.

Po za zamkiem, nad strómem brzegowiskiem rzeki, była niewielka płaszczyna, ocieniona kilkoma drzewami, tam było ulubione miejsce jego samotnych przechadzek.

Pewnego dnia, bardziej niż kiedy poddawszy się zniechęceniu, spoglądał na mętne, toczące się u stóp jego fale, zazdroszcząc im, że mogą płynąć w dal, podczas gdy on musiał pozostać na miejscu jakby przykuty, gdy raptem, niewiadomo z kąd puszczona, świsnęła strzała i upadła u samych stóp jego. Schylił się, by ją

podnieść i spostrzegł, że była owinięta papierem. Schowawszy ją śpiesznie, by który z żołnierzy, stojących na warcie nie spostrzegł, powrócił do zamku i tam, znalazłszy się w samotności, rozwinął papier, który był zapisany pod spodem. Przeczytawszy jednak parę pierwszych słów, zerwał się w niezwykłym podnieceniu i pośpieszył do marszałka nadwornego. Zastał go w komnacie samego, więc mu wręczył natychmiast papier, mówiąc:

— Panie marszałku, oto co mi się dostało do rąk przypadkiem, szczęście, że żaden z żołnierzy nie spostrzegł, gdy strzałę puszczono.

Marszałek wziął kartkę bez wielkiego zdziwienia, przeczytał ją, obejrzał i zwrócił się następnie do pana Jana:

— Czy waść wiesz co ów papier w sobie zawiera?

— Wiem trochę, bom go rozwinął, chcąc zobaczyć z kąd pochodzi... O ile mogłem zmiarkować, idzie tam o oswobodzenie arcyksięcia z niewoli...

— Ciszej waść, ściany mają uszy, — rzekł marszałek półgłosem, kładąc palec na ustach. — Chciałem waszmość i bez tego wtajemniczyć, i rad jestem, że już wiesz o co idzie, bo mam nadzieję, że będziesz nam pomocnym a pewny jestem, że nas nie zdradzisz..

Pan Jan skłonił się w milczeniu, czekając co dalej powie.

— Jak na teraz, nic nam nie pozostaje, tylko czekać, — ciągnął dalej marszałek, — mój brat podczasy wkrótce nam doniesie, kiedy będzie sposobna pora do ucieczki, waszmość tymczasem pilno uważaj, czy znów nam jakowegoś znaku nie dadzą. Dodam jeszcze, że mamytu kilku ze straży zamkowej przekupionych, którzy obowiązują się ułatwić nam wszystko, jeśli będzie potrzeba. Kaliński wie i powie ci, którzy to są, abyś mógł poznać później, kogo się strzedz należy, a kogo nie.

Od owego zdarzenia upłynęło dni kilka, pan Jan z gorączkowym zajęciem czekał i śledził, azali nie będzie nowych jakichś wiadomości, lecz nastąpiła głucha cisza, która tem nieznośniejszą mu się zdawała, iż przedtem na chwilę został ocucony z odrętwienia. Godziny za godzinami, dzień za dniem biegly, żadnej z sobą nie przynosząc zmiany, a ta bezczynność i przymusowy spoczynek omal do szaleństwa go nie doprowadzały; byłby chętnie życie naraził, byle tylko pozbyć się owych męczarni. Nie mógł myśleć, bo w myślach nie znajdował nic pocieszającego; zresztą jego bujna, ognista natura potrzebowała czynu, i rwała się do niego, jak rumak stepowy wyrwa się na szeroką przestrzeń, za którą tęskni. On, przywykły do konia oraz do czynnego i ruchliwego życia wśród ciągłych wypraw, pochodów i podjazdów, tęsknił teraz, niby ptak w klatce zamknięty, i nie dziw, że stracił zupełnie sen, a oblicze jego nosiło widoczne ślady trawiącego go niepokoju.

Jednego dnia, kiedy bardziej niż kiedy pożerany był tą gorączką wewnętrzną, przyszedł Kaliński, ów dworzanin marszałka, który był wtajemniczony we wszystko, i wezwał go do Zborowskiego.

Marszałek nadworny przechadzał się po komnacie w poruszeniu, gdy pan Jan wszedł, rzekł do niego tajemniczo:

— Zamknij waść drzwi dobrze, — ale wpięrow obacz, czy w kurytarzu nikt nie podsłuchuje.

— Niema nikogo, panie marszałku, — odrzekł pan Jan, spojrzawszy na kurytarz.

— Mam list od mego brata, podczaszego, — rzekł marszałek półgłosem, zbliżając się do niego. — Pisz mi, że do samej granicy szląskiej porozstawiać kazał konie, by uwieźć arcyksięcia; idzie tylko o to, żeby kratę w oknie przepiłować i linę uwiązać, aby go spuścić w nocy przez wał, jest to rzecz dość trudna, z powodu straży, co stoją dokoła...

— Panie marszałku, straż pilnują tylko we dnie, a w nocy śpią jak zabici, — rzekł pan Jan szybko. — Snać nie przywykli oni do czujności i porządku, bo ja bym dziesięć razy przeszedł koło nich w nocy i aniby słyszeli...

— Tym razem bardzo to dla nas pomyslnie, bo gdyby lepiej czuwali, trudno by nam było uczynić to co zamierzamy, — rzekł pan Andrzej Zborowski. — Liczę, że waścina odwaga, której miałem już sposobność doświadczyć, przyjdzie nam w pomoc i w tej ważnej imprezie...

— O, panie marszałku! — zawołał pan Jan, patrząc na niego palającym okiem, — dajcie mi co zrobić, bo oszaleję w końcu! Ja w tej tęsknocie i bezczynności nie wyżyję!...

— Nie bój się waść, będziesz miał robotę, — rzekł marszałek z lekkim uśmiechem, rad w duszy, że znalazł w nim taką gotowość. — Musimy pomówić o tem obszerniej i naradzić się z samym arcyksięciem, — pójdz waść ze mną.

To rzekłszy, zwrócił się ku dalszym komnatom, zajmowanym przez Maksymiliana i jego dwór. Pan Jan postępował za nim w milczeniu, pierwszy raz dopiero miał stanąć w obliczu arcyksięcia, którego dotąd widywał tylko zdaleka i przelotnie.

Po drodze spotkawszy pokojowca, marszałek kazał mu oznajmić swoje przybycie. W komnacie, której okna wychodziły na rzekę siedział Maksymilian z twarzą znudzoną, wpatrując się w daleki krajobraz.

Marszałek, wchodząc, uklonił się i przedstawił natychmiast pana Jana, jako przyszłego pomocnika w zamierzonej ucieczce. Młody człowiek mógł więc się teraz przyjrzeć dobrze temu, dla którego sprawy miał znów narazić swoją przyszłość a może i życie.

Maksymilian mógł mieć wtedy lat dwadzieścia kilka; silnej budowy, wyniosłej postaci, miał coś dumnego i pańskiego w obliczu i całym zachowaniu się, odrazu zdradzającego w nim potomka rodu Cezarów. Obok tego widniał w nim jakiś chłód i panowanie nad sobą, dziwne w tak młodym wieku, choć zarazem w oczach zapalały mu się chwilami, gdy mówił, błyski ambicyi i wielkiej żądzy panowania, która kazała mu tak długo i z takim uporem dobijać się korony polskiej. W każdym razie jednak więcej w nim było materiału na istotnego króla, niż w Zygmuncie.

Miał włosy trefione w długie kędziory, spadające mu aż na ramiona, i małe wąsiki, pod któremi widać było grubą wargę rakuzką, szpecącą dość miłe zresztą oblicze.

Skoro marszałek wszedł, arcyksiążę natychmiast zwrócił się ku niemu z uprzejmą serdecznością, o ile na nią zdobyć się mogła jego chłodna natura:

— Więc jakże stoi sprawa, drogi nasz przyjacielu? — zapytał, obracając do niego głowę i wskazując na krzesło obok siebie.

— Miłościwy panie — rzekł marszałek, — zdaje mi się, że sprawa nasza dość dobrze stoi. Oto ten młody oficer, którego odwaga i wierność znane mi są już oddawna, gotów jest podjąć się wszystkiego, co mu wasza księżęca mość rozkaże.

Tu spojrzął na pana Jana, który stał w postawie pełnej uszanowania, zaczęł i arcyksiążę wzrok swój na niego obrócił i rzekł z godnością:

— Jestem obecnie więźniem i nikomu nie mogę rozkazywać; oddaję się tylko w opiekę waszmościów, dufając w ich wierność i poświęcenie, o których w przyszłości, skoro nastaną lepsze czasy, pamiętać będę.

A zwracając się do marszałka, porozumiewając dodał:

— Przyjdą jeszcze może czasy, że będę waszmościom mógł rozkazywać, jako ich król prawowity...

Gdy tak mówił, oblicze jego przybrało wyraz istotny królewski.

— Będzie to, miłościwy panie, jako Bóg żywy! — zawołał marszałek.

— Ale jakże waszmościowie myślicie urządzić z oną ucieczką? — zapytał arcyksiążę.

— Chcemy przepiłować kratę, miłościwy panie, i spuścić was na dół po linie od strony rzeki, — ozwał się marszałek — dzisiejszej bowiem nocy będzie z tej strony stał na warcie jeden z żołnierzy, przez nas przekupionych...

I dalej zaczął rozwijać plan ucieczki, a arcyksiążę słuchał go z twarzą chłodną, nieznamio-

nującą żadnego wzruszenia, jakkolwiek tutaj los jego miał się rozegrać niedługo.

Po odejściu pana Jana, gdy marszałek został sam na sam z Maksymilianem, rzekł do niego:

— Miłościwy panie, mój brat podczaszy w ostatnim swym liście zapytuje mię o to, czy może w waszej, a zarazem naszej wspólnej sprawie rozpocząć znowu otwarte działanie? Co mam mu na to odpowiedzieć?

— Mości marszałku, — rzekł arcyksiążę — odpiszcie mu, że księżęta mojego rodu tak łatwo nie zrzekają się panowania, chociażby im stanął na drodze kanclerz polski. Sam honor nie pozwala mi wyrzec się korony, — będę o nią walczył do ostatka, zwłaszcza że król Zygmunt widocznie myśli ustąpić do Szwecyi...

— A czy Zamojski nie wie o onych rokowaniach z wami? — spytał marszałek.

— Ani się domyśla; inaczej by przeszkodził niechybnie. Już raz, gdy był tu u mnie, próbowałem zaczepić go w tej materii, zapytując, co by rzekł na to, gdybym za zgodą samego Zygmunta osiadł na tronie polskim? Spojrzał wówczas na mnie tak dziwnym wzrokiem, że natychmiast obróciłem to w żart.

— Ach, gdybyż nadeszła prędzej ta upragniona chwila, kiedy ten nasz wróg wspólny będzie musiał paść lub upokorzyć się, — zawołał marszałek, przechadzając się po komnacie w żywym wzruszeniu. Lecz nie, upokorzenie to za mało, — niechaj padnie, niechaj zjeździe z tej wysokości, na którą się wzniósł tak zuchwale, iż sądzi, że go już tam zemsta nie dosięże. Dokąd nie ujrzę go u stóp moich pokonanego, dotąd nie zaznam spokoju! Dość już ród nasz wycierpiał od niego, teraz na nas przyszła chwila odwetu... krew naszego brata woła o pomstę!

Maksymilian wciąż spokojny, wstał ze swego miejsca i zbliżywszy się do marszałka, uściśnął mu rękę przyjaźnie:

— Uspokójcie się, mości marszałku — rzekł, — do zemsty potrzeba swobodnej głowy, nieowładniętej żadną namiętnością. Wszak mówiliście sami, że kanclerz nie unosi się nigdy...

Dotknięcie jego chłodnej dłoni zdawało się uspokajać nieco Zborowskiego, — odrzekł z goryczą, ale już bez gwałtowności:

— O tak, on zawsze spokojny, zawsze panem siebie, ten rozumny człowiek. Nic go nie rozdrażni, nawet zniewaga, nawet obelga! I tem mnie pokonywał zawsze! Kiedy we mnie krew kipiała, kiedy rzuciałem się jak wściekły, kiedy wzywałem wszystkich szatanów z piekła, aby mi dali zemstę, on stał nieporuszony i zimny, spokojną żrenicą śledząc, kiedy mnie gniew uniesie zdaleko, by natychmiast z tego skorzystać. Tak samo pokonał on mojego brata także, który, jak wszyscy w rodzinie naszym, nie umiał się hamować, gdy go co poruszyło i padł w końcu ofiarą swojej natury. A on, ten, ten... szlachetka, coraz wyżej się wznosił, by z wysokości swej fortuny spoglądać na nasze calamitas... Ale teraz się stoczy walka ostatnia, straszna, na śmierć i żywot!...

Nastała chwilowa cisza, poczem arcyksiążę się odzwał:

— Znam go także, tego dumnego kanclerza. Jego spokój jest niezamącony niczem, a ta jego grzeczność więcej mię drażni, niż gdyby się okazał ostrym i surowym stróżem więziennym.... Miałem ja zrazu nadzieję, że go upokorzę, rozdrażnię czemś, ale nie, nic go nie poruszyło, zawsze uprzejmy, dostoyny i pełen powagi, że aż wierzyć trudno, iż to prosty szlachcic tylko, a nie jaki książę udzielnny! Trzeba go nienawidzić i trudno — nie szanować!..

Pan Jan, wychodząc z komnat arcyksięcia, doznał jakiegoś upojenia: puls mu uderzały, głowa pałała, krew odziedziczona po ojcu, biła z siłą niepokromioną; — owo burzliwe i niespokojne usposobienie, które zdawało się chwilowo przyćmiewać w nim, teraz zbudziło się z nową siłą i gwałtem pchało go do jakichś awanturniczych przedsięwzięć, dla których chętnie życie by naraził.

I gotów już był z rozkoszą, z zamkniętymi oczami rzucić się w ten wir, po owem życiu przy-musowej beczynności, nie patrząc co pozosta-

wał za sobą, ale nagle powstrzymał go pewien skrupuł, który go począł tak męczyć, że nie namyślając się długo, postanowił natychmiast się zwierzyć przed marszałkiem i rad był bardzo, że go zastał samego, po powrocie od arcyksięcia.

— Panie marszałku, — rzekł, ujrzawszy go, — raczcie mi darować, że przychodzę do was nie wzywany, ale nie wiem co mam uczynić w onej srogiej niepewności...

— Cóż to takiego? — spytał pan Andrzej Zborowski, wlepiając w niego wzrok przenikliwy.

— Z niektórych słów jego księżęcej mości wyrozumiałem, że wcale jeszcze nie zaniechał starania się o koronę, — więc czyby ucieczka jego nie ściągnęła na kraj szkodliwych zamieszek, ile że mamy już króla ukoronowanego i uznanego nawet przez dawnych stronników arcyksięcia? Co do mnie, nie chciałbym do niczego takiego ręki przyłożyć, co by było ze szkodą Rzeczypospolitej.

— Nie wiedziałem, że z waszmości taki polityk, — przerwał mu marszałek dumnie i niecierpliwie. Odkąd że to oficerowie, których rzeczą jest szabla, zaczęli zajmować się rozważaniem konstelacyj politycznych? Waszmość służysz pod moimi rozkazami i na mnie spada odpowiedzialność za to co uczynisz teraz...

— Raczcie zrozumieć, panie marszałku, — odrzekł pan Jan z całym uszanowaniem ale i z mocą, że nim zostałem oficerem w waszych hufcach, w pierwszym już byłem szlachcicem i że nie mogę ani przed sobą, ani przed drugimi zasłaniać się tem, że służę pod waszemi rozkazami, tak jak owi najemni oficerowie w piechocie, których tylko jurgielł jedynie zajmuje, bo mię i inne rzeczy mocno obchodzą...

— A no, jeśli tak, — odparł marszałek, który bojąc się urazić przyszłego współnika ucieczki, pohamował swoją niecierpliwosć, gotową wybuchnąć, — to ukoj że waszmość swoje skrupuły, bo wiedz o tem, że sam król Zygmunt zgadza się na to, by odstąpić arcyksięciu polską koronę, za co ci ręczę słowem mojem, któremu myślę, że zechcesz zaufać, — dodał dumnie.

— Więc jakże, czyś już teraz zadowolony, czy niepewność owa ustąpiła? — zapytał po chwilowym milczeniu, już uprzejmiejszym tonem.

— Dziękuję wam, panie marszałku, — odrzekł pan Jan, — teraz zdjęliście mi kamień z serca i jestem na wasze rozkazy.

— Bardzo dobrze, bądźże waś gotów dzisiajszego wieczora, bo jak tylko w zamku spać się pokładą, weźmiem się do dzieła.

(Dalszy ciąg nastąpi)

RUCH MUZYCZNY.

Teatr Lwowski, który u nas bawi podczas lata, dostarcza publiczności warszawskiej mnóstwa wrażeń bardzo silnych i urozmaiconych, — teatr to bowiem wybornie prowadzony, rozporządzający potrzebnymi środkami i bardzo w kierunku repertuarowym ruchliwy. W szeregu tych utworów, z jakimi nas zapoznała scena lwowska, znać wybór świadomy rzeczy prawdziwie artystycznych i wartościowych; w tem wszystkim, cośmy tam usłyszeli, znać kierownictwo rozumne i energiczne człowieka, świadomego zadań teatru i zamilowanego do sceny. Istotnie, dyrektor Ludwik Heller przekonał nas niejednokrotnie, że zawód przewodnika teatru pojmuje poważnie i nie szczędzi ofiar ani pracy, byle ukochaną przez siebie operę uczynić wysoce artystyczną. Środki, jakich p. Heller używa, są proste ale również prosto do celu wiodące.

Przedewszystkiem ma dyrektora opery, Henryka Jareckiego, wysoce utalentowanego kompozytora, który jest świetnym kapelmistrzem. Pracowity i bardzo muzykalny, p. Jarecki, ma ten dar nieoceniony wybornego kierownika ope-

ry, iż potrafi utrzymać w karbach różnorodne części składowe przedstawienia. Zdaje się, iż to mu przychodzi łatwo, tymczasem wiele trzeba ponieść mozole, zanim orkiestra, chóry i soliści zestroją się dokładnie i harmonijnie.

P. Jarecki dowiódł, iż nad ciałem operowem w najszerszym zakresie potrafi umiejętnie panować: każdy utwór (pomimo, iż repertuar wciąż się zmienia) wykonany był zawsze nietylko dokładnie, ale z subtelnym wykończeniem; często zaś, interpretacya pojedynczych ustępów danego dzieła nosiła na sobie piętno wyższego artysty. Wszystkie te przymioty składają się na indywidualność dyrektora Jareckiego bardzo zajmującą.

Scena lwowska rozporządza orkiestrą nader wyrobioną i posiadającą solistów doskonałych; pierwsze skrzypce trzyma tam prof. Wohlfstäl, który we Lwowie często występuje na estradzie, hucznie oklaskiwany. Chóry są dobrze wyćwiczone i karne, poddające się z uległością paleczce dyrektora. Rytm w śpiewach zbiorowych i koloryt interpretowanych ensembłow operowych, świadczą o niemałej muzykalności chórów, wnikających nieraz bardzo trafnie w nastrój pewnych sytuacji.

Pomiędzy stałymi solistami opery i operetki lwowskiej należy wyróżnić siły następujące. Na pierwsze miejsce wysuwają się trzy artystki: panie Kasprowiczowa, Bohusówna i Kliszewska, z których w swoim repertuarze każda prezentuje się nader dodatnio. P. Kasprowiczowa jest śpiewaczką wszechstronną, gdyż z równym powodzeniem śpiewa w operze, jak i w operetce; głos to o bardzo sympatycznym brzmieniu, doniosły i podatny do wywołania efektów nawet silnie dramatycznych.

P. Bohusówna jest *primadonną* operetki, posiada dużo wdzięku, ujmującą ma powierzchowność, — a głos, choć niezbyt potężny, zawiera w sobie niemało wytrzymałości. Sympatyczna artystka z ogromną maestryą śpiewa np. walce, które w jej ustach nabierają wiedeńskiej melancholii i rozmarzenia.

Wybitnej miary śpiewaczką jest również pani Kliszewska, która z wdziękiem i swobodą gry łączy dużo temperamentu artystycznego. Panie Bohusównę i Kliszewską pamiętamy wszyscy z interpretacyi „Jasia i Małgosi“ Humperdincka, gdzie obiedwie śpiewaczki święcą zasłużone tryumfy. Z innych artystek pożytecznie pracują: pp. Bronikowska, Radwan i Skalska.

Wśród artystów, wyróżniającą się postacią jest p. Myszkowski, komik operetki i reżyser teatru. Dużo w nim jest zacięcia, humoru i tej werwy *buffo*, która nieodzowną być musi w produkcji bogactwa muzyki, pisanej dla zabawy i śmiechu.

P. Bogucki, baryton dźwięczny i wyrobiony, jest ozdobą personelu męskiego i zbiera ciągle ustawiczne dowody sympaty słuchaczy. P. Lewicki, obdarzony miłym, wysokim tenorem, podobna się ogólnie; to samo da się powiedzieć o p. Malawskim, artyście bardzo muzykalnym, który niedawno zawód śpiewaka rozpoczął.

Pp. Szymański i Paszkowski zaliczają się do sił czysto operowych i śpiewają z dużym powodzeniem.

Wyliczone siły teatru lwowskiego pozwalają na ułożenie repertuaru pod każdym względem wartościowego. To też miesięczny z górą pobyt operetki lwowskiej w Warszawie przekonał nas, iż wszystko do czego personel się zabierze, wykonane jest ku ogólnemu zadowoleniu.

Przyjrzyjmy się np. przedstawieniu: „Córki pułku“ i „Kumoszek z Windsoru.“ Każda z tych oper znalazła odpowiednią interpretacyę: Donizetti był traktowany swobodnie, lecz z lekkością stylową i wdziękiem; świetną wykonawczynią tytułowej partyi była p. Bohusówna, — nagradzano też ją przeciągłymi oklaskami. Dzieło Nikolai'a „Kumoszki z Windsoru,“ napisane było pomiędzy 1847—1849 r., odznacza się zaletami doskonałej opery komicznej. Pomysły muzyczne są tu świeże, melodia płynie oryginalnie, wiele jest w całości ożywienia i humoru. Nikolai urodzony w Warszawie, gdzie wystawiono w swoim czasie operę jego, p. t. „Templaryusze.“ Publiczność

nasza zainteresowała się też dziełem Nikolai'a i przysłuchiwała mu się z zajęciem, zwłaszcza, iż wykonanie było poprawne i staranne. To samo można powiedzieć o „Djabliku małżeńskim“ (właściwie „Świerszczyk za kominem“) Goldmarcka. Utwór bardzo ładny, nakreślony z nie-małym zasobem pomysłowości i wyobraźni, wypadł w interpretacji artystów lwowskich zupełnie dobrze; najlepiej z zadania wywiązała się p. Kasprowiczowa.

Największe jednak powodzenie w Warszawie zjednała sobie operetka Ryszarda Heubergera, p. t. „Bal w operze.“ Rzeczą tę grają obecnie w całej Europie—i wszędzie kasa jest w obłęże-niu. „Bal w operze“ i u nas miał kolosalny sukces: w ciągu półczwarta tygodnia grano operetkę dwadzieścia parę razy!.. Libretto, przez Leona i Waldberga dowcipnie pomyslane, spleta się z muzyką lekką, melodyjną, wesołą i popularną. Libretto, zaczerpnięte z doskonałej komedy „Różowe Domino.“ snuje się około intrygi, zdradę małżeńską mającej na celu — bawi i rozśmiesza co chwila. Żony na reducie przekonywają się o niewierności swych mężów, ale ci zrezygnują w ostatnim akcie z trudnej pozycji się wywijają. Muzyka godzi się z treścią naj-zupełniej, gdy w treści nie zbyt zdrożnego nie-ma, i w muzyce też, co najwyżej, napotyka się na kankana... Wszystko to jednak dyskretnie traktowane nietylko że nie budzi niesmaku, ale przeciwnie wywołuje wrażenie miłe i bawi wy-smienicie.

W partycyi całej melodye rozlewają się wdzię-cznie na tle ładnej instrumentacji. Dominuje nad innymi melodyjami — walczyk; wtorują mu zaś: poleczki, galopadki, dueciki, tercety a nawet sekstety, ale wszystko lekko, pieśczętliwie. Słuchacz nie męczy się, choć ani jednej nutki z uwagi nie traci. Do tych niezapomnianych wrażeń lekkiej muzyki przyczynili się w wy-sokim stopniu wykonawcy. Była to, ogółem biorąc i w szczególności zaznaczając, interpreta-cya znakomita. Kobięce role znalazły wyborne wykonawczynie w artystkach: pp. Bohusównie, Kliszewskiej, Kasprowiczowej, Radwan, Skal-skiej i Bronikowskiej; męskie role były odegra-ne bez zarzutu przez pp. Boguckiego, Lewickiego, Myszkowskiego i innych. Nie dziwimy się też wobec tego wcale wyjątkowemu powodze-niu, jakie „Balowi w operze“ towarzyszy w naszym mieście.

W ostatnim tygodniu dyrekcya teatru lwow-skiego wystąpiła z premierą wielkiej doniosłości. Wystawiono operę Smetany „Dalibor,“ a oprócz tego na gościnny występ w partyi ty-tułowej zaproszono znakomitego artystę, pierw-szego tenora „Narodnego Divadla“ w Pradze, p. Floryańskiego.

Dzieło to poważne i szlachetne w nastroju, przesłaniczne w muzycznej formie i doskonale opracowane, należy do szeregu najwybitniej-szych oper naszego czasu. Mistrz czeski wy-snuł z melodyi narodowych ludu pobratymcze-go, najpiękniejsze wzory i oprawił je w drogo-cenne ramy przepysznej harmonii. Libretto hi-storyczne—rzeczą dzieje się za panowania Władysława Jagiellończyka w Czechach — dostar-czyło kompozytorowi wstępu do rozwinięcia po-mysłów muzycznych przednich, zajmujących — nieraz czarownych i porwujących. Losy „Da-libora“ za zabójstwo, spełnione na wrogu, skaza-nego przez króla na więzie, a potem na śmierć, wypełniają dramat; wiele figur biorących udział w akcji stanowi tło w operze, namalowane z niepospolitą ekspresją. Postać Milady, która z mśczącej się za śmierć brata kobiety zmienia w kochankę Dalibora — odtworzona jest w mu-zyce z dosadną charakterystyką. Wystawa ope-ry przepyszna.

P. Floryański stał się bohaterem sezonu. Jest-to artysta o świetnych warunkach scenicznych, obdarzony tenorem dramatycznym o szerokiej skali; gra sceniczna śpiewaka mogłaby przy-nieść zaszczyt niejednemu znakomitemu arty-ście dramatycznemu; sam śpiew potężne wywie-ra wrażenie i do serca przemawia. Coś rycer-skiego jest w dziarskiej postawie artysty i coś

trubadurskiego w śpiewie. Owacyjnie też przy-jmowano gościa — rodaka, który nad Węłtawą entuzjastycznych ma tylko wielbicieli.

Adam Dobrowolski.

OCZEKIWANIE

(Dokończenie).

W ten sposób minęło z górą dwa lata.

Przez ten czas Michaś ani razu nie mógł od-wiedzić matki, bo dostał jakąś świetną kondy-cję, z warunkiem jednak, że na wakacje i świę-ta nie będzie opuszczał swoich pupilów. Zgodził się bez wahania, bo musiał. Z pieniędzy złożo-nych w kasie wybrał prawie wszystko i wkrótce mógł się zostać na bruku bez grosza. Donosił o tej lekcyi matce jak o wielkiem szczęściu, do-niosłość którego pani Halina oceniła rozsądkiem, a gorycz w niem zawartą wchłonęła w swe serce. Od tego czasu wszystkie święta, w które ucząca się młodzież ma dłuższe ferye, wdowa obchodzi-ła tak smutno, jak pogrzebowe rocznice. Uro-czystość tych dni, ich gwar i powszechne wesele zdawały się istnieć jedynie na to, by silniej uzmysłowić jej samotność i dać odczuć, że da-wniej spędzali je razem, mogliby i teraz, ale nie będą. Swoją drogą pani Andrzejowa, ulegając nałogowi tradycyi, dwa razy, myśląc ciągle—po co to wszystko?!—przyrzadziła sobie rybę na wilię, dwa razy kupiła babkę, kółko kiełbasy i kra-szanekę i oba razy oddała to jedzenie zagląda-jącym do niej żebrakom, a malowane jajko jakie-muś ulicznikowi, co miał oczy tak wielkie i ciem-ne, jak jej syn. W tym roku również z przy-krem uczuciem słuchała wyrzekań pani mecena-sowej, że mąka droga, a ryba na wagę złota, bo jej to przypominało, że zbliża się Boże Narodze-nie. Aż naraz w ostatnią niedzielę adwentu, aku-rat wtenczas, gdy był u niej flecista, który choć rzadziej, jednak stale ją odwiedzał, przyniósł jej pocztulion odkrytą kartkę. Zaledwie jednak pa-ni Halina przebiegła ją oczyma, przybladła sil-nie i zaczęła oddychać niezwykle szybko, jakby jej zbrakło tchu.

— Co pani jest? — zerwał się wystraszony fle-cista. Ona zaś, łapiąc otwartemi ustami powie-trze, oddała mu list.

— Mamusi! hurra! Rodziciele moich hebesów uważają, iż ich pociechy są już dość duże, by mogły samodzielnie zbijać baki na święta. Ztąd wniosek prosty jak obręcz, że przyjadę. Cieszę się jak oberwany wisielec—dyabło mi już tęskno do Ciebie, wszystkich i wszystkiego. Wyjeżdżam w przyszły czwartek, o 8-ej na wilię będę w do-mu. Proszę nie zapomnieć o rybie na zimno i la-mańcach, maku nie żałować — wszak muszę od-jeść moje dwie...

Tu muzyk przestał czytać, słysząc szmer ci-chedo płaczu. Podniósł zdziwione oczy i zoba-czył bladą już, ale uśmiechniętą twarz pani Ha-liny i wielkie, staczające się po jej policzkach łzy.

— Och! panie Michale! panie Michale! — ode-zwała się w końcu przerywanym głosem wdowa i, zanim zdumiony flecista zdobył się na odpo-wiedź, wyrwała mu z ręki list i przycisnęła na-miętnie do swych ust tę żółtą kartkę. Muzykowi niewiadomo dlaczego zrobiło się dziwnie smutno, wstał, spojrzął, jakby z wyrzutem, w rozpromie-nione oczy uszczęśliwionej kobiety i wyszedł tak szybko, że pani Halina, która go miała zamiar zaprosić dziś na obiad, nie zdażyła tego uskutecznić. Potrzebowała jednak widocznie przed kimś się wygadać i to zaraz, bo chwyciła szal i narzuciwszy go na głowę, przebiegła przez pod-wórze i wpadła jak wichur do mydlarzowej tak jeszcze wzruszona i blada, że sąsiadka była pe-wna, iż co najmniej złodzieje z góry bieliznę po-kradli. Gdy zaś dowiedziała się o wszystkim, ucieszyła się serdecznie, prawdopodobnie przez wzgląd na swą siedmastoletnią Manię, która

była nietylko wysoka jak świeca, ale równie szczupła i blada, po za tem dobra i gospodarna dziewczyna, niegdyś towarzyszką zabaw dzie-cinnych Michasia, a w rojeniach patrzących na to matek—przyszła jego żona. Po mydlarzowej wkrótce cała kamienica wiedziała, że syn pani Tokarskiej przyjeżdża, bo wdowa każdemu ko-gokolwiek spotkała, czuła się w obowiązku zako-munikować tę wielką nowinę, tak przytem w jej mniemaniu pełną szczęścia, że chwilami była po prostu niemile zdziwiona, widząc jak niektórzy zachowują się w obec tej wiadomości chłodno i obojętnie. Jeżeli jednak niejedna kwaśna mina słysząc po raz pierwszy — Michaś przyjeżdża! — pozostała równie kwaśną, twarz pani Haliny, za każdym razem, gdy komuś lub sobie powtarzała te słowa, promieniała jak zorza.

— Ale na panią mróz działa, jak wiosna, —za-uwazyła w poniedziałek mecenasowa, widząc jak pani Halina, tak jeszcze w sobotę apatyczna, dziś z niezwykłą energią stębnuje spódnice.

— Syn mój przyjeżdża, — odpowiada tryumfu-jącym głosem wdowa, a twarz i oczy jaśnieją błogim uśmiechem.

— Pani, to coraz młodsza, jak Boga kocham! wygląda pani, jak, nie przymierzając, te malino-we pomarańcze, pyszne... po dziesiątce, dla pani grosz opuszczę po znajomości, — trzepie sklepi-karz, wydając jej resztę. — Michaś przyjeżdża, uśmiecha się pani Halina i, nie wie dlaczego, ra-daby uściskać tego pocziwca. Jednym słowem, jest to jedyne wyczerpujące objaśnienie, którego wdowa chętnie udziela wszystkim, co się zdzi-wili tą nagłą zmianą w całej jej istocie.

A dziwić się jest czemu! — bo gdy, ot teraz obiera rybę z wypiekami na twarzy od gorąca blachy, pod którą się pieką strucle i łamańce, wygląda jak młoda kobieta, która w celu misty-fikacyi przypudrowała włosy, pokładła trochę zamarszczków na rumianej twarzy i cień rzuciła pod błyszczące swe oczy. Wprawdzie zmrok już zapada, trudno więc określić, co w tym wyglą-dzie jest prawdą, a co fałszem; niewątpliwie je-dnak pani Halina w ciągu kilku dni odmłodziła, co najmniej o lat parę. Czuje to sama, jest dziś tak zdrowa, wesoła i żwawa, jak rzadko. Od ra-na krząta się w kuchni, nie czując zmęczenia, przytem wszystko udaje się wysmienicie: san-dacz w galarecie trzęsie się tak apetycznie, żeby z przyjemnością zjadła kawałek, zwłaszcza że czuje głód, nie chce go jednak sama napocząć. Natomiast wyjmując strucle z pieca, wycina ze spodu spory trójkącik, chucha nań i próbuje — wysmienicie, bez cienia zakalca. No, jak idzie, to idzie, szepece uradowana wdowa, odpinając far-tuch. Wszystko już prawie gotowe. Zupa migda-łowa stygnie w wazie; farsz, sosy — palce lizać! Karasia dosmaży na patelni w trakcie wieczery. A teraz marsz po resztę sprawunków. Wilię pa-ni Halina urządzi królewską, wszak może sobie pozwolić. Suknię hrabianki skończyła na termin, pieniądze ma.

Ot tu! w woreczku — pięć, trzy i trzy — jedena-ście rubli; na wino, bakalie, pierniki, aż nadto. Trzeba się tylko przebrać — myśli. Wchodzi do pokoju, siada na chwilę odpocząć, wyjmuje z za-gorsu pomiętą kartkę, czyta ją po raz setny, uśmiecha się i całuje. Wkrótce później w czar-nej, dość długiej szubie, w bronzowej w grochy wualce, dobranej do koloru kapelusza i nicianych rękawiczkach wybiega na ulicę.

Słońce już dobrze zaszło, a w mieście niemal tak jasno jak w dzień. Ze wszystkich wystaw sklepowych przez ogromne witryny wylewają się potoki światła na ulice pokryte śniegiem, co jest tak zjeżdżony i stratowany, że wygląda jak popiół. Ruch przytem wszędzie niezwykły: na trotuarze tłumy ludzi najrozmaitszego rodzaju, płci, wieku i gatunku, którzy pędzą w różne strony z niezwykłym pośpiechem, jakby w go-rączce; prześcigają się nawzajem, potracają się, witają, śmieją, rozmawiają, gdzie niegdzie znów się kłóca, a robią to tak pośpiesznie, na gwałt, iż łatwo się domyśleć, że blizki już termin, do którego trzeba to wszystko skończyć. Pośpiech znać wszędzie: w szybkich ruchach, w podniece-niu twarzy, w wyrazie przeważnie śmiejących się oczu, w sposobie trzymania paczek, któremi

rzut z tego, że za wiele rachuje się ze smakiem tutejszych mieszkańców i za wiele ustępstw czyni na rzecz owego smaku. W koncercie panny Pancera brała udział druga znakomitość, panna Olitzka, która w interpretacji śpiewów Schuberta, tak dramatycznością jak i liryzmem dobiega najwyższych szczytów sztuki.

Mamy jeszcze zapowiedziane koncerty: pani Carenna, d'Alberta i Raisenauera, który do zupełnego zdrowia już powrócił.

Przechodząc od jednej sztuki do drugiej, wspomnę, że na tegorocznej wystawie obrazów w Royal Academy posucha na wybitniejsze płótna państwa wielka.

Godnemi podziwu i najwyższego odznaczenia były jedynie dzieła dwóch portrecistów,—Herkomera, twórcy obecnego malarstwa portretowego,—oraz Sargenta. Portrety tego ostatniego, szczególnie zaś podobizny Wertheimera (znanego handlarza obrazów) i jego żony, malowane są przepysznymi.

Nie od rzeczy też będzie wspomnieć o nowym wynalazku zastosowanym na polu chromolitografii. Pokazywano mi właśnie bardzo udane próby. Dotąd nakładano każdą farbę przy pomocy oddzielnego kamienia, gdy tymczasem obecnie stwarza się obraz barwny, jakby mozaikowy, po którym przebiega ogrzany walec z papierem i przyjmuje odrazu cały obraz ze wszystkimi barwami. Automatyczny aparat dostarcza z dołu farby, które zmiękczone przez przebiegający, ogrzany walec, znowu są do druku przygotowane. Odbitka cieni następuje w sposób dotychczas przy chromolitografii używany. W kosztach, w stosunku do obecnych, jest podobno 75% oszczędności. Sposób ów, do fabrykacji kolorowych afiszów, będzie zapewne wkrótce ogólnie zastosowywany, zestawienie zaś mozaiki farb, wedle oryginału, dałoby dla kobiet wdzięczne pole pracy.

Do dziś jeszcze nie przebrzmiały echa straszego wypadku, jaki przed tygodniem poruszył całe miasto. Jako naoczny świadek opowiem i ja o nim słów kilka.

Zapowiedziana uroczystość, spuszczenia na wodę znacznych rozmiarów okrętu „Albion“, pociągnęła mnie wraz z jednym z moich znajomych w stronę Blackwall. Wsiadliśmy do podziemnej kolei na stacji Fonchurch Street, dalszą zaś krótką drogę odbyliśmy pieszo. Idąc w kierunku robotniczej części miasta, nad Tamizą położonej, spotykaliśmy co krok sklepy z piwem i wyrobami dystylatorskimi przyczem towarzysz mój zauważył, iż robotnicy Londyńscy, nierównie brudniej i więcej obdarto wyglądają, aniżeli ludzie tej sfery na kontynencie.

W miarę jak zbliżaliśmy się do celu naszej wędrowki, ulice zaludniały się coraz więcej a w pośród tłumu, obok wygalowanych oficerów i marynarzów nie brakło pięknych dam, strojnych i eleganckich. Już to przyznać należy, że pięknocią Angielki przewyższają liczebnie kobiety innych narodowości.

Kiedy doszliśmy do brzegu Tamizy przemienionego na widownię, urzędniczą zakładów żelaznych (Ironworks), w czapkach z galonami, wskazali nam miejsca na trybunie. Nie mogliśmy wprawdzie dojrzeć ztąd uroczystości chrztu, lecz mieliśmy przed oczyma całą linję, jaką olbrzym miał przebiec, zanim zanurzy się w głębiach nad którymi panować miało być jego przeznaczeniem. Kolos, podparty belkami, jak wieloryb wyciągnięty z wody, wznosił się przed nami a kolos to nie lada. 300 przeszło stóp długi a 75 szeroki. Opasany szerokim pancierzem ze stali Harney'a, którego 5 stóp zanurza się w wodzie, 10 zaś jest ponad wodą. Grubość takiego pancierza wynosi 8 do 12 cali. Nawet pokład

pokryty jest blachą stalową dwucalowej grubości. Obie wieżycy osłonięte są 12-to calowymi stalowymi płytami.

Już przed 50-ma laty z miejsca gdzie stał Albion, spuszczone pierwszy żelazny okręt wojenny, w praktyce jednak okazał się niezdatnym i obrócony został na statek pomocniczy do przewozu. Od owego czasu do dziś technika budowy okrętów poczyniła olbrzymie postępy.

Na kwadrans przed 3-cią naczelnym inżynier, stojący na admirałskim pomoście dał znak aby oczyszczono drogę, tj. aby usunięto statki krążące po Tamizie. Uroczystość rozpoczęła się. Po modlitwie i odśpiewaniu hymnu, księżna York, w asystencyi męża przecięła wstęgę wiążącą okręt z lądem i rzuciła butelkę szampana, która powinna się rozbić o ścianę świeżo ochrzczonego statku. Niestety, butelka wpadła do wody niestłuczona. Dla ludzi przesądnych był to zły prognostyk, który niebawem się sprawdził.

W chwili gdy statek w szalonym pędzie zeszłał się po wysmarowanych belkach, z piersi 20 tysięcznego tłumu, wznosił się okrzyk: hurah!

Okrzyk zmieszał się ze świstem maszyn na całej długości rzeki stojących okrętów—a zakończył się okropnym, rozdzierającym krzykiem kilkuset ludzi, głównie kobiet i dzieci, których gwałtowna fala zmiotła z brzegu jednym rzutem i zatopiła w czarnej głębi. Potwór morski nie oszczędził najdroższych istot ludziom, którzy go do życia powołali. Wielka ilość łodzi pośpieszyła z pomocą, mimo tego liczba ofiar przechodzi 60 osób.

Zmęczony ruchem, gwarem i rozlicznymi wrażeniami, jakich dostarcza tak olbrzymie miasto, znalazłszy nadto chętnego towarzysza, uciekłem na dni kilka do Szkocji, którą dla jej odrębnych widoków lubię niezmiernie.

Szkot z upodobaniem nazywa kraj swój krajem gór i jezior i rzeczywiście ma zupełną słusność.

Ile razy jestem w Szkocji, tyle razy dziwię się czemu tak mała liczba ludzi, zwiedzających dalekie strony, podziwia te cudne, niezrównane widoki. W Szkocji brak jest może lasów, jakie spotykamy w górskich okolicach na kontynencie ale za to górskie widoki Szkocji w dopełnieniu do swej piękności mają to, czego nie posiadają żadne inne,—mają połączenie czaru gór i morza razem.

Wszystkie drogi komunikacyjne w Szkocji, wybrane są, o ile naturalnie warunki gruntu na to pozwalają, z tem uwzględnieniem, żeby podróżnemu dać możność przejeżdżania przez najpiękniejsze części kraju. Z każdej strony widzi się morze i góry, góry i morze. Krajobrazy ubarwione są przytem wielką ilością ruin starożytnych zamków i warowni, a jeśli czasem brak jest obfitej zieleności, to jednak charakterystyka skalistych, wysoko piętrzących się łomów, nie na tym braku nie traci.

Wycieczki tak są ułatwione dla zwiedzających, jak gdyby tysiące turystów wędrowało rok rocznie po owych szlakach. Prześliczna wycieczka do jednego z najstarszych miast Szkocji, Invernes, nie jest ani kosztowna, ani męcząca. Z ładnego i ruchliwego miasteczka Oban, kilka razy dziennie odchodzi parowy statek i bywają osoby, które jedynie dla tej wycieczki przepływają kanał.

Jedną z dalszych wycieczek od granicy Szkocji jest droga do jeziora Loch-Linnhe. Jezioro zamknięte w górach, jest niezaprzeczenie jednym z najpiękniejszych jezior na świecie; w okolo niego obsiadły dawne klany, dziś leżące w gruzach.

Niedaleko ztamtąd leży Dunolie-Castle, kiedyś warowna twierdza, należąca do lordów of Lorne.

Rodzina ta należy do najzamożniejszych rodzin w trzech zjednoczonych królestwach. Niegdyś lordowie of Lorne tak wielką posiadali władzę, że wchodzili w zbrojne zatargi z królami Szkocji. W niewielkiej także ztamtąd odległości znajduje się dziwnie ukształtowana skała, w dawnym tutejszym narzeczu nazwana „Clach-nan-con“ (psi kamień). Legenda opowiada, że Fingal przywiązywał tutaj swego psa, który w niecierpliwym oczekiwaniu na pana, powygryzał w zęby ową skałę. Prawie równie stara legenda przywiązana jest do zamku Dunstaffnage, w którym przechowywano kamień, będący niejako relikwią narodową Szkocji, przywieziony podobno z wyspy Jona i odgrywający przy koronacji wielką rolę. Edward I-szy, zawojowawszy Szkocję, kamień ten w IX wieku przewiózł do Londynu, gdzie do dziś umieszczony jest jako podpora tronu. Stara szkocka pieśń opowiada, że tam, gdzie się ten kamień znajduje, tam szkocka rasa panować będzie, i kiedy po śmierci Elżbiety, Jakób I z domu Stuartów zasiadł na tronie, radość w Szkocji była wielka i rokowano sobie, że dynastia szkocka nazawsze utrzyma koronę.

Szczególniej zachodnia część kraju obfituje w legendy i wzruszającym jest, jak bardzo lud jest do nich przywiązany. W ogóle, Szkoci mają uczucie patriotyzmu nadzwyczaj gorąco rozwinięte.

Od strony Anglii nad jeziorem Loch-Linnhe wznosi się fort „Wiliam“, opodal którego bierze właściwie początek kanał Kaledoński. Fort, zbudowany przez generała Monka w czasach Cromwella, służył naówczas do utrzymania w karkach burzliwych Szkotów. Nazwano go też kluczem Szkocji. W roku 1715 i 1745 odgrywał podczas powstania wybitną rolę i dopiero w r. 1864 Anglia zdecydowała się cofnąć ztamtąd swoją załogę. Naprzeciw fortu Wiliam wznosi się najwyższa góra w państwie Brytańskim Ben Nevis, 1443 metry wysoka.

Jeśli komu wyjazd do Szkocji nie jest nadto daleką drogą, trudno zaiste nad owe strony znaleźć miłsze schronienie przed letnimi upałami obok wspaniałej natury, odżywczego, zdrowego powietrza, znajdujemy tam komfort, czystość idealną i wielką w ludzkiej ucziowości.

S.

Kronika działalności kobiecej.

— P. Marya Milkuszyc napisała bardzo ładną, bardzo pożyteczną książkę. Powieść „Dziadowie i wnuki“ jest nie tylko gładkiem i po literacku opracowanym opowiadaniem, ale ma istotne zalety dobrej, obyczajowo psychologicznej książki. Głównymi sprężynami kierującymi życiem trzech pokoleń jest miłość macierzyńska, praca i obowiązki, które jedynie prowadzą do rzeczywistego szczęścia. Pisma dały szczegółowe sprawozdania z tej powieści, znanej już i cenionej autorki a „Przegląd Polski“ obszerną dała recenzję i bardzo pochlebna. Tą dzisiejszą naszą wzmianką, pragniemy zwrócić uwagę czytelniczek na rzecz nową i zupełnie nadającą się do życzliwego polecenia.

— W Cansas w Ameryce, została pani Anna Diggs zamianowana urzędownie bibliotekarką w państwowym księgozbiore.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkuś 6 powieści, p. t. *Spadkobiercy*, przez autorkę „Za cudze winy.“ Przekład Z. S.

Treść: Z nietłómaczonych poezji Giacoma Leopardiego, przez Władysława Nawrockiego. — **Bezkrólewie**, powieść historyczna w 2-eh częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg). — **Ruch muzyczny**, przez Adama Dobrowolskiego. — **Oczekiwanie**, przez G. Daniłowskiego (dokończenie). — **List z Anglii**, przez S. — **Kronika działalności kobiecej**.

Dodatek obejmuje: *Spadkobiercy*, powieść, przez autorkę „Za cudze winy“, arkuś 6. Przekład Z. S. — **Przegląd mód**, 27 wzorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycje obiadu**.